

OGRODY NA BALKONACH

POMIDOROWA REWOLUCJA

Partyzant z motyką

Moda na uprawianie własnych warzyw i owoców zaczęła się właściwie od działań w przestrzeni miejskiej. Najpierw chodziło o zazielenianie miast, z czasem doszedł aspekt wytwarzania własnego jedzenia. Obecnie miejska partyzantka ogrodnicza czy też legalne miejskie ogrodnictwo kwitnie w najlepsze na całym świecie.

Urban gardening to więcej niż ruch społeczny. O Detroit w USA zrobiło się głośno po tym, jak w lipcu tego roku miasto ogłosiło bankructwo. Ludzie zawłaszczają tam zarośnięte i nieuczęszczane od lat parki i sadzą rośliny jadalne. W ten sposób powstało już blisko 1 400 farm. Masowe zakładanie ogródków miejskich to także sposób na radzenie sobie z kryzysem w Hiszpanii. Nawet Irlandczycy, pomimo że są w lepszej sytuacji ekonomicznej, stworzyli działającą obecnie na arenie międzynarodowej organizację „Grow It Yourself”, promującą uprawę roślin na własne potrzeby.

Także w Polsce, gdzie własne uprawy wciąż kojarzą się przede wszystkim z działkami pracowniczymi, nie brakuje inicjatyw wspierających i promujących miejskie ogrodnictwo. W Szczecinie, korzystając z doświadczeń

ANNA
MAZIUK

dziennikarka



Czytając blog Słoneczny Balkon, możemy dowiedzieć się np., jak zrobić lawendową lemoniadę albo lody o smaku tych fioletowych kwiatów. Jego autorka Basia Chronowska w ziemi grzebała od dziecka, ale swoją pierwszą uprawę – zresztą nie w dużym ogrodzie, ale na balkonie w bloku – rozpoczęła trzy lata temu. Basia jest osobą praktyczną, dlatego od razu padło na rośliny jadalne. Zaczęła od ziół. – Dokładnie od zwykłej cebuli, którą wsadziłam do ziemi. Po jakimś czasie wyrósł z niej przepyszny szczypiorek, który w niczym nie przypomina takiego kupionego w sklepie – wspomina. Rok później założyła bloga. Prowadzi też warsztaty, bo hodowanie roślin w małej skali jest teraz na topie.

Zazwyczaj zaczyna się od kwiatów, potem pojawiają się zioła, z czasem pomidory czy fasola. A wszystko to na balkonie. Dla niektórych to tylko początek, bo potem coraz bardziej angażują się w miejskie ogrodnictwo. Urban gardening to już nie tylko moda, lecz także sposób na życie

berlińskiego Prinzessinnengarte, niedawno otwarto Ogród Miejski Kany, gdzie każdy może uprawiać swoją grządkę. Na warszawskiej Ochocie działa zaś amerykańska artystka Jodie Baltazar, która tworzy stołeczną mapę dzikich roślin jadalnych. A w ramach projektu Pixxe prowadzi warsztaty i spotkania.

Miejskim partyzantem może być każdy, kto uprawia zieleni pod swoim blokiem czy na balkonie. Wraz z rosnącą liczbą chętnych, by to robić, pojawia się również coraz więcej możliwości zdobywania wiedzy ogrodniczej. Jedną z nich są właśnie warsztaty organizowane niemal w każdym większym mieście. Alternatywa to blogi o tej tematyce.

Blogi o wilkach w doniczkach

Basia na swoim piśmie nie tylko o wykorzystaniu lawendy, ale i o pomidorowych wilkach czy o tym, co z czym sadzić, by dobrze rosło, czyli o tzw. uprawie współrzędnej. Można powiedzieć, że zainteresowanie roślinami Basia odziedziczyła po tacie, który od zawsze zajmował się przydomowym ogródkiem i florą w domu. Mieszkali w bloku, ale na parterze, dlatego udało się im zagospodarować kawałek ziemi do niego przylegającej. – Jako mała dziewczynka obserwowałam tatę, ale własną uprawę zajęłam się dużo później, już jako dorosła kobieta, kiedy przenieśliśmy się na swoje. Nie wyobrażałam sobie balkonu bez roślin – wyznaje.

Posiadanie własnego ogródka uwarżliwiło Basię nie tylko estetycznie, stała się też o wiele uważniejszą konsumentką, i to nie tylko, jeśli chodzi o żywność, ale i kosmetyki czy chemię. Zaczęła zwracać uwagę na to, skąd pochodzą kupowane przez nią owoce i warzywa, dokładnie czytać skład różnych produktów.

Blog, jak to zazwyczaj bywa, powstał z potrzeby usystematyzowania zgromadzonej wiedzy i chęci podzielenia się nią z innymi. – Uważam, że trzeba ludziom mówić, skąd pochodzą produkty, które spożywamy, dlatego warto nabywać u lokalnych dostawców i wreszcie – hodować samemu – wymienia.

Na co dzień Basia zajmuje się marketingiem internetowym. Ale kiedy wraca do domu, często siada do komputera i wymienia uwagi z innymi ogrodnikami. To właśnie takie społeczności internetowe, gdzie można spotkać



Basia Chronowska swoją przygodę z balkonową uprawą rozpoczęła od posadzenia cebuli. Dziś prowadzi bloga Słoneczny Balkon

innych pasjonatów roślin, są jej podstawowym źródłem wiedzy. – Jako posiadaczka balkonu, a nie ogródka, jestem jednak w mniejszości, dlatego wiele porad muszę zmodyfikować tak, by działały na mniejszą skalę – tłumaczy.

Jak na porządnego hodowcę przystało, Basia na swoim balkonie uprawia pomidory. Dwa rodzaje koktajlowych i jeden w stylu śliwkowego. Kiedy podczas naszej rozmowy wspominam, że u mnie takie owalne pomidory ciemnieją, odkrywam, że może tak być przez zbyt długo pozostające na dojrzewającym już owocu kwiatki. Albo przez niedobór wapnia, który najłatwiej uzupełnię, choćby zakupując w ziemi sparzone i wysuszone skorupki od jajek. Ale pomidory to tylko jedno z wielu roślin, o których Basia może opowiadać. Poza tym rosną u niej także papryczka chili, truskawki, sałata, rukola, roszonek, rzodkiewka czy szczypiorek. Najwięcej na Słonecznym Balkonie znajdziemy różnych ziół, od estragonu czy cząbrku, przez oregano i stewię, aż po tzw. ziele długowieczności – gynostemę.

Basia przyznaje, że najtrudniejsze w uprawie jest wyhodowanie roślin z nasionek (pierwsze 2–3 miesiące). Mniej cierpliwi mogą skorzystać z sadzonek (warto pamiętać, by nie kupować ich w supermarketach, ogólnie tam, gdzie nie możemy dowiedzieć się o przeszłości rośliny więcej). Później rośliny do życia potrzebują już tylko wody, odrobiny nawozu i bacznej obserwacji. Basia poświęca swojej hodowli od 15 min. do pół godziny dziennie. – Tak dużo uprawiam, że samo napełnianie konewki zajmuje niemało czasu, a zużywam za każdym razem trzy dziesięciolitrowe.

Grzebanie w ziemi to nie tylko brudna przyjemność, ale i źródło szczęścia. Autorka Słonecznego Balkonu przekonuje, że dzięki kontaktowi z ziemią wytwarzamy więcej endorfin, czyli hormonu szczęścia. Na niewielkiej przestrzeni trudno jednak wyhodować takie ilości, żeby nie trzeba było dokupować w sklepie. Basia tylko ziół ma pod dostatkiem. To nie znaczy, że nie jesteśmy w stanie wyprodukować więcej. Czynnikiem ograniczającym, jeśli chodzi o rodzaj upraw, to pojemność doniczki. Basia wskazuje po pierwsze na nośność balkonów, których nie możemy zawalić metrową warstwą ziemi, bo mogą tego nie wytrzymać, po drugie zaś na niewystarczającą ilość miejsca. – Jeżeli jednak ktoś może pozwolić sobie na uprawę w 20-litrowych skrzyniach, może spokojnie hodować ogórki, cukinie, groszek czy karłowate drzewka i krzewy owocowe – wymienia.

Sceptycy twierdzą, że uprawa w zanieczyszczonym, dużym mieście mija się z celem. – Przecież kupując w sklepie, też zazwyczaj dostajemy produkty, które wyrosły przy drogach albo zostały potraktowane bardzo agresywną chemią, by przetrwać transport. Poza tym, nawet jeśli roślina wchłania zanieczyszczenia, zazwyczaj koncentrują się one w jej konkretnych częściach. W sałacie są to te zgrubienia na środku liścia, a w warzywach korzeniowych – skórka takiej rzodkiewki czy marchewki – przekonuje Basia.

Argumentem za uprawą jest fakt, że pozwolić na nią może sobie w zasadzie każdy, kto ma kawałek przestrzeni z dostępem do światła słonecznego. Nie potrzeba też dużych nakładów finansowych. Wystarczy butelka po wodzie pięciolitrowej albo stare skrzynki. Nasiona są niedrogie, a nawozy można zrobić samemu (ze wspomnianych już skorupki od jajek

albo pokrzywy). Istnieją nawet rozwiązania dla często podróżujących – samonawadniające się doniczki typu „zrób to sam”.

Balkonowa alternatywa

Źródeł tak dużej popularności upraw miejskich Basia upatruje m.in. w kryzysie gospodarczym i wysokich cenach owoców oraz warzyw. – Jeden z amerykańskich działaczy guerrilla gardening porównał uprawianie tego, co możemy zjeść, z drukowaniem własnych pieniędzy – mówi. I dodaje, że wzrasta też świadomość konsumentów, którzy coraz częściej zastanawiają się, jaką drogę musi przebyć taka pomarańcza, zanim do nich trafi, dlaczego wszystkie wyglądają tak samo itd. Tylko uprawiając samemu, możemy mieć pewność, co do jakości jedzenia. – Szczególnie młodzi są coraz bardziej świadomi. Chcą zmieniać świat na lepsze. Jedzenie owoców z własnego ogródka nie jest już faux pas – zapewnia.

Podobnie uważa architektka krajobrazu Iga Kołodziej. – Uprawa warzyw przestała być obciachowa – przekonuje. I dodaje, że wraca też moda na ogródki przy szkołach lub przedszkolach, dzięki czemu dzieci uczą się, jak wygląda roślina, na której rośnie pomidor, ile wymaga pracy i że nie jest wyprodukowany w fabryce.

Iga twierdzi, że rośliny sadzi, odkąd tylko nauczyła się chodzić. – Babcia zawsze zabierała mnie ze sobą na działkę. Miałam swoją grządkę, gdzie mogłam grzebać w ziemi. Później rodzice kupili dużą działkę. Tam dopiero można było się wykazać!

Zielone dzieciństwo zdefiniowało przyszłość Igi, która na kierunek studiów wybrała architekturę krajobrazu. – Poza ogrodami interesowała mnie jeszcze historia sztuki i architektura. Dzięki wujkowi ogrodnikowi znałam rośliny, zanim zaczęłam studia. To było szczególnie pomocne na kolokwium, na które za każdym razem trzeba było się nauczyć kilkudziesięciu różnych gatunków.

Iga do Warszawy przyjechała z Lublina. Teraz mieszka na zamkniętym osiedlu. Najbardziej doskwiera jej brak kontaktu z sąsiadami. Ma nadzieję, że może zagospodarowanie ogródka przed blokiem coś zmieni, zintegruje mieszkańców. Na razie na swoim trzymetrowym balkonie uprawia pomidory, poza tym zioła, sałatę, fasolkę szparagową, nasturcję, których kwiaty są jadalne. Najwięcej czasu swojej uprawie poświęca na wiosnę, kiedy trzeba umyć balkon, przygotować doniczki, wysiać rośliny, a potem je rozsadzać. Teraz to przede wszystkim wyrywanie chwastów i podlewanie. Nawodnienie kilkudziesięciu skrzynek i donic zajmuje jej pół godziny. Resztę czasu spędza na projektowaniu i pielęgnowaniu cudzych ogrodów. Mnóstwo radości dają jej warsztaty, szczególnie uczestnicy, którzy później chwala się swoimi osiągnięciami.

Iga ma własną firmę Mint&Lavender, prowadzi też bloga o tej samej nazwie, który jest – jak to określa – ogólnodostępną bazą wiedzy.

Iga zdaje sobie sprawę, że ludziom trzeba pomóc przyswoić wiedzę. Robi to choćby przez wyjście z działaniami w przestrzeń publiczną. Niedawno, wraz z kolektywem Sie-Je w mieście, na dziecińcu Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie stworzyła Ogród Zmysłów. – To tymczasowy ogród sensoryczny zrobiony w skrzynkach po jabłkach. Podzieliliśmy go na trzy strefy: dotyk, wzrok i słuch oraz smak i węch. To taka wyspa, na której można zjeść pomidory, ogórki czy poziomki.



Grzegorz Młynarski z pracowni Kwiatkibratki potrafi wyhodować nawet arbuzy

WYSTARCZĄ BANIAK PO WODZIE ALBO STARE SKRZYNKI, NASIONA SĄ TANIE, A NAWOZY MOŻEMY ZROBIĆ SAMEMU, I OGRÓD JEST JUŻ GOTOWY

Te ostatnie znikają najszybciej. W części dotykowej można pomacać listki różnych kwiatów – niektóre są szorstkie, inne delikatne. Czyściec przypomina w dotyku zajęcze uszka, żylistek jest chropowaty. Obok, w kąciaku słuchowym, możemy usłyszeć np. brzęczenie trzmieli.

Kilka listków obsiadły mszyce. Iga macha ręką. – Widziałam tu kilka biedronek – uspokaja mnie. Jak się okazuje, biedronka jest ich naturalnym wrogiem. – Są nawet kraje, w których

zestaw biedronek można nabyć w sklepie – śmieje się. – Trzeba je potem zagnieździć na krzaczkach i po sprawie.

O tym, że takie inicjatywy są potrzebne, wiedzą już nie tylko instytucje czy organizacje pozarządowe. Według Grzegorza Młynarskiego z pracowni Kwiatkibratki, bunt związany z miejską partyzantką ogrodniczą był charakterystyczny dla pierwszej dekady XXI w. – Ale już przebrzmiewa. Państwa i miasta otwierają się na mieszkańców, oferując im otwarte modele współzrządzenia, czyli m.in. możliwość decydowania o kształcie otaczającej nas przestrzeni – przekonuje.

Zieleń od chodników po dachy

Jaki mówi Grzegorz, Kwiatkibratki to nie tylko pracownia projektowa i ogrodniczy butik, ale także cała sieć miejskich ogrodników, ludzi, którym zależy na tym, by nie stracić kontaktu z przyrodą. Pomysł narodził się podczas rozmów z Jakubem Kowalewskim. Kuba jest inżynierem, projektuje rozwiązania dla ogrodów, parków i innych terenów zieleni miejskiej. Płynie w nim „zielona krew”, bo pochodzi z rodziny o ogrodniczych tradycjach. Grzegorz z kolei zajmuje się socjologią miasta i trendami związanymi ze zrównoważonym rozwojem. To z połączenia tych dwóch płaszczyzn oraz wspólnej pasji i chęci ułatwiania ludziom życia powstały Kwiatkibratki.

Do chłopaków dołączyła, odpowiadająca m.in. za promocję wydarzeń, kulturoznawczyni Ula Kasińska. Dziś we trójkę, z pomocą różnych zaangażowanych ludzi, pokazują, że polskie miasta mogą być zielone od chodników po dachy. – Uważamy, że powrót do natury może odbywać się w symbiozie z miastem i w jego rytmie. Każdy może zostać miejskim ogrodnikiem – zapewnia Grzegorz. Wie, o czym mówi. Sam z nieogrodnika stał się prawdziwym miejskim ogrodnikiem. – Dziś uprawiam na balkonie arbuzy (wyrosto już sześć owoców!), kukurydzę, kilka odmian sałaty, pomidory, paprykę, bardzo dużo ziół i kwiatów. Wszystko na warszawskiej Pradze – opowiada z dumą.

Grzegorz twierdzi, że działalność „balkonowa”, a coraz częściej także tarasowa, da chowa, podwórkowa czy trawnikowa, wiąże się nie tylko z dużymi oczekiwaniami co do jakości życia, ale i z rosnącą świadomością, że jesteśmy odpowiedzialni za otaczający nas świat i losy przyszłych pokoleń. – Stąd popularność różnych ruchów „re”, takich jak chociażby reuse czy recycle. To też źródło zainteresowania własną hodowlą w mieście – twierdzi.

Uprawa pomidorów na balkonie czasem bywa czymś więcej. – To najbardziej pokojowy akt sprzeciwu wobec rzeczywistości, która nas otacza – mówi Basia. – Społeczeństwo bierze sprawy w swoje ręce, bez żadnych papierów czy organizacji. Ludzie zbierają się i działają. To chyba najlepsze, co w tym momencie możemy zrobić.